Trzy dni z Marią w Raciborzu

Czasami mieszkamy przez wiele lat w jakimś miejscu i okazuje się, że tak naprawdę nic o nim nie wiemy. Codziennie, chodząc ulicami, patrzymy na budynki, pomniki i inne obiekty architektury, ale ich nie widzimy. Ich obecność wydaje się nam oczywistością i nie zwracamy na nie w ogóle uwagi. Nie znamy ich historii, bo ta wiedza nie wydaje się istotna w naszym zabieganym życiu. Tak było i w moim przypadku. Przyjechałem do Raciborza, ponieważ zaproponowano mi tutaj satysfakcjonujące stanowisko pracy. Byłem typowym pracoholikiem, dlatego, choć mieszkałem w tym mieście od ponad dwóch lat, nigdy nie znalazłem ani chwili czasu, by dostrzec jego piękno. Prawdę mówiąc, w wolnych momentach, których było naprawdę niewiele, aby odreagować, wolałem raczej szukać zapomnienia w objęciach koleżanek z pracy.

Wszystko zmieniło się ubiegłego lata, gdy przełożony wysłał mnie na zaległy czterodniowy urlop. Kompletnie nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Włóczyłem się bez celu po mieście, gdy nagle mój wzrok zatrzymał się na dziewczynie w towarzystwie grupki dzieci, otaczającej wysoki pomnik, znajdujący się w centralnym punkcie rynku. Zaciekawiony usiadłem więc na ławce usytuowanej w pobliżu.

– To kolumna Matki Boskiej – opowiadała nieznajoma. – Została stworzona przez Jana Melchiora Österreicha i stanowiła dowód wdzięczności za uratowanie miasta przed epidemią cholery. A teraz posłuchajcie bardzo uważnie. Musicie wiedzieć, że to nie jest jakiś tam sobie zwykły pomnik. Legenda głosi, że jego zniszczenie zapowiadać będzie koniec świata. Z kolei zaś naruszenie jego cokołu spowoduje zatopienie miasta. Dlatego bardzo ważne jest, aby pomnik pozostał w nienaruszonym stanie. Rozumiecie?

Dzieci z przerażeniem na twarzach zgodnie pokiwały głowami i gdy tylko dziewczyna im pozwoliła, rozpierzchły się w mgnieniu oka. Ona sama nadal jednak wpatrywała się w pomnik, zupełnie jak gdyby widziała coś, czego inni nie dostrzegają.

– Nieźle je pani wystraszyła – zagadnąłem, również stając przed kolumną.

Nieznajoma wyraźnie się zlękła. Odwróciła się do mnie i wtedy ujrzałem jej piękne niebiesko-szare oczy, które patrzyły na mnie zagadkowo. Wyjaśniłem więc, że mimochodem usłyszałem jej przemowę skierowaną do dzieci.

– Tak, niech wiedzą, że z pomnikami nie można zadzierać – odpowiedziała, uśmiechając się.

Znajdując się całkowicie pod wpływem chwili, spytałem ją, czy nie jest może przypadkiem przewodniczką, bo właśnie szukam kogoś, kto pokazałby mi miasto i okolice. Dziewczyna na moment się zawahała, po czym potwierdziła moje przypuszczenie i oznajmiła, że bardzo chętnie mnie oprowadzi. Nie wierzyłem jej jednak do końca, dlatego poprosiłem o jej identyfikator.

– No nie, znowu go gdzieś zgubiłam – wytłumaczyła, spoglądając na puste miejsce na piersi, gdzie powinna znajdować się plakietka. – Dobrze, w takim razie, co chciałby Pan zobaczyć najpierw, Panie…

– Jestem Aleksander – dokończyłem, wyciągając do niej dłoń.

– Ja jestem Maria. A wie Pan, że ci, którzy poznają się przed kolumną Maryjną, pozostaną związani na zawsze.

Nasze dłonie zastygły w uścisku. Nie wiem, dlaczego tak się przejąłem tymi słowami, bo przecież do tej pory nigdy nie wierzyłem w takie rzeczy. Być może wynikało to z mojego strachu przed zaangażowaniem się w stały związek. Kiedy byłem dzieckiem, zostawiła mnie matka i to odcisnęło na mnie taki ślad, że nie potrafiłem zaufać żadnej kobiecie. Rozrywka, wspólnie spędzona noc jak najbardziej, ale bez żadnych zobowiązań. Gdy do dziewczyny dotarło, że mnie przeraziła, wyjaśniła:

– Spokojnie. Ja tylko żartowałam.

Maria zaproponowała, żebyśmy zwiedzili wieżę więzienną, jednakże już po drodze do niej znajdowało się wiele wartych uwagi obiektów, chociażby Kościół Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny czy pozostałe fragmenty dawnych murów obronnych. Moja „przewodniczka", bez względu na to, czy rzeczywiście nią była, czy też nie, posiadała naprawdę ogromną wiedzę na temat Raciborza. Miałem wrażenie, że zna historię każdego budynku i każdej osoby związanej z tym miejscem. Zupełnie jak gdyby żyła na przestrzeni tych wszystkich wieków i teraz dzieliła się swoim własnym doświadczeniem. Patrzyliśmy na to samo, ale ona widziała dużo więcej. Czasem wydawało mi się, że widzi zarówno rycerzy jadących konno, dorożki oraz samochody, słyszy szelest długich sukien dam i wybuchy spadających bomb, jak gdyby to wszystko dla niej współistniało jednocześnie.

Nawet nie wiem kiedy znaleźliśmy się przed wieżą więzienną wykonaną w stylu renesansowym, która, jak wyjaśniła Maria, poza tym, że stanowiła element dawnych umocnień, pełniła również funkcję więzienia. Wewnątrz znajdowała się wystawa narzędzi tortur sprzed wieków. Ku mojemu zdziwieniu dziewczyna znała wszystkie ich nazwy i muszę przyznać, że poczułem się mało komfortowo. Natomiast z wyższego poziomu wieży, można było podziwiać panoramę miasta. Maria długo się w nią wpatrywała. Na jej twarzy była taka czułość, jak

podczas pożegnania z kochankiem, którego miała już nigdy więcej nie zobaczyć. Nagle uzmysłowiłem sobie, że ten widok towarzyszył tym wszystkim osobom, które były tu przetrzymywane, przed śmiercią.

– To musiało być okropne – odezwałem się. – To oczekiwanie na śmierć w tym miejscu.

– Jakby się nad tym zastanowić, to wszyscy oczekujemy na śmierć – odparła. – Ci ludzie tylko po prostu wiedzieli, kiedy ona nastąpi. Oni nie mieli wyboru, ale ja osobiście chciałabym, aby taki był mój ostatni widok przed śmiercią.

Powiedziała to całkowicie poważnie. Stałem osłupiały. Skąd u młodej dziewczyny takie dojrzałe przemyślenia na temat śmierci? Choć na co dzień miałem do czynienia z umieraniem w mojej pracy, przy niej poczułem się strasznie infantylny.

Następnie wróciliśmy inną drogą do Rynku i Maria powiedziała, że teraz pokaże mi swoją ulubioną ulicę – ulicę Długą. Elewacje położonych przy niej kamienic były ozdobione niezwykłymi dziełami sztuki, pięknymi mozaikami przedstawiającymi m.in. zegar słoneczny, Ślązaka, Ślązaczkę i kosz z owocami. Moja przewodniczka wspomniała także o jeszcze jednej z nich, obrazującej dwie postaci na tle kul ziemskich, znajdującej się na budynku po przeciwnej stronie Rynku, która, w związku z jego ociepleniem, zniknęła pod styropianem.

– Nigdy nie rozumiałam, co ona oznacza – przyznała. – Może to, że każdy ma taką swoją małą kulę ziemską, taki mini świat, który jest dla niego najważniejszy. Naprawdę szkoda, że nie można już jej oglądać. Swoją drogą to dziwne, nie widać jej, ale ona przecież tam nadal jest. Teraz tylko ci, którzy ją widzieli i pamiętają, mogą ją dostrzec oczami wyobraźni.

Przejmowała się zasłonięciem tej dekoracji niczym utratą najlepszego przyjaciela. To było osobliwe i zarazem urocze. Nigdy przedtem nie spotkałem kobiety, która patrzyłaby na świat, tak jak ona, a znałem ich naprawdę niemało. Pomyślałem, że chciałbym, aby kiedyś spojrzała na mnie tak, jak na te obrazy, i natychmiast zganiłem siebie za tę myśl.

Długo tak jeszcze spacerowaliśmy po mieście, a na koniec Maria, mimo mojego oporu, zaciągnęła mnie do muzeum. Ku mojemu własnemu zdziwieniu naprawdę świetnie się tam bawiłem. Ekspozycja dotycząca dawnych technik dentystycznych była naprawdę interesująca. Niemniej jednak największe wrażenie i tak zrobiła na mnie wystawa zatytułowana „W domu Ozyrysa” z mumią Egipcjanki Dżed-Amonet-ius-anch.

– Biedaczka. Zmarła tak młodo – zauważyłem.

– A czy to ważne, jak długo się żyje? Ważne jest tylko to, jakie jest to życie. Czasami można żyć bardzo długo, ale przejść przez te wszystkie lata jak ta mumia, nic nie widząc i nic nie czując. Czasami zaś można żyć krótko i każdego dnia zachwycać się prostymi rzeczami, jakby już nigdy miały się nie powtórzyć.

Kolejny raz nie wiedziałem, co powiedzieć. Znów poczułem się jak dziecko, które nic nie wie o świecie, w towarzystwie 80-letniej staruszki.

Gdy po tym dniu pełnym wrażeń wróciliśmy do punktu wyjścia naszej wycieczki, Maria poinformowała mnie, że widzimy się jutro w tym samym miejscu. Chciałem jej zapłacić, ale uznała, że rozliczymy się później, po czym zniknęła w jednej z pobliskich uliczek.

Następnego dnia czekała już na mnie przed czasem. W przeciwieństwie do mnie była ubrana na sportowo, co trochę mnie zaniepokoiło. Miała też identyfikator. Więc pomyślałem, że może jednak naprawdę jest przewodniczką. Pełen obaw spytałem, co będziemy dzisiaj zwiedzać. Ona jednak tylko oznajmiła, że idziemy na autobus.

Tym tajemniczym miejscem okazało się Arboretum Bramy Morawskiej. Przy parkingu znajdował się średniowieczny gród i przez chwilę miałem nadzieję, że pójdziemy właśnie tam, ale Maria wskazała na leśną ścieżką. Szczerze mówiąc nigdy nie byłem szczególnym entuzjastą przyrody. Dziewczyna najpierw pokazała mi tamtejsze stawy, a potem zabrała mnie do Zaczarowanego Ogrodu. Stanowił on jeden wielki labirynt stworzony z roślin iglastych, wewnątrz którego można było znaleźć wiele różnorodnych gatunków roślin. Nie przypuszczałbym, że taki obiekt może znajdować się na terenie zwykłego z pozoru lasu. Okazało się, że skrywa on dużo więcej skarbów, m.in. Kamienny Krąg, wzorowany na tradycyjnych kręgach tworzonych przez ludy słowiańskie. W jego pobliżu zlokalizowano też platformę z widokiem na wspomniany już ogród. Kolejny raz się zdziwiłem, gdyż, patrząc na niego z góry, odkryłem, że został on zaaranżowany w taki sposób, by rośliny układały się w ogromny kwiat o pięciu płatkach. Razem z Marią staliśmy oparci o barierkę i patrzyliśmy na prawdziwy cud ogrodnictwa. W pewnej chwili dziewczyna położyła swoją dłoń na mojej dłoni. Spojrzeliśmy na siebie, po czym Maria nagle… zemdlała. Przerażony wziąłem ją na ręce i zaniosłem na jedną z ławek wokół Kamiennego Kręgu.

– Pani Mario, wszystko w porządku? – spytałem, gdy się ocknęła.

– Przepraszam. Mam lęk wysokości, to pewnie dlatego – odpowiedziała. – A tak w ogóle może skończymy już z tym Panem i Panią.

Oczywiście zgodziłem się na jej propozycję. Zasugerowałem jej też, aby zrobiła badania, ale ona w ogóle nie chciała o tym słyszeć. Dalej chciała oprowadzać mnie po lesie, ale przekonałem ją, aby się nie przemęczała. Wróciliśmy więc do centrum miasta. Maria nie zamierzała jednak udać się do domu, wręcz przeciwnie uparła się, że pokaże mi Zamek Piastowski, który opuściliśmy dopiero wieczorem. Zapowiadała się ciepła letnia noc, dlatego postanowiliśmy jeszcze przejść się Bulwarami Nadodrzańskimi. Pragnąłem, aby ten dzień nigdy się nie kończył, gdyż tak dobrze czułem się w towarzystwie tej dziewczyny. W końcu

jednak dotarliśmy do Rynku i pożegnaliśmy się, przy czym Maria tajemniczo poleciła mi, abym następnego dnia zabrał ze sobą rower.

Tym razem to ja przyszedłem wcześniej. Maria zjawiła się po chwili. Martwiłem się o nią po tym wczorajszym incydencie, dlatego zasugerowałem jej, że wycieczka rowerowa to może jednak zły pomysł. Ona jednak stwierdziła, że czuje się świetnie. Jechaliśmy daleko poza centrum miasta. Miejscem, które chciała mi pokazać okazał się Rezerwat przyrody Łężczok, który, jak szybko się przekonałem, obejmował kompleks znajdujących się tu stawów. A więc znowu moja ukochana przyroda. Maria zachwycała się kwiatami, grzybami i owadami, a najbardziej zaś ekscytowały ją ptaki. Najdziwniejsze jednak było to, że przy niej, mnie również zaczynało to wszystko interesować. Przez te ostatnie dni uświadomiłem sobie, jak bardzo moje życie było ograniczone. Tak bardzo byłem skupiony na pracy, że przestałem dostrzegać cokolwiek poza nią. Byłem jak ta mumia z muzeum, nic nie widziałem i nie czułem. Dobrowolnie zamknąłem się w sarkofagu w obawie przed tym, że ktoś mógłby mnie zranić. Dopiero ta dziewczyna na nowo uczyła mnie afirmacji świata.

Długo spacerowaliśmy groblami pod baldachimem utkanym z koron drzew, przez które ledwo przedostawały się promienie słońca, aż dotarliśmy do mola znajdującego się przy największym ze stawów. Staliśmy przez chwilę na nim i podziwialiśmy przepiękny widok na wysepki, na których kłębiło się ptactwo. Nagle twarz Marii przybrała melancholijny wyraz i stała się nieobecna.

– Za niedługo większość z nich stąd odleci – odezwała się po chwili, nadal patrząc na ptaki jak zahipnotyzowana.

– Tak, ale przecież na wiosnę wrócą – zauważyłem.

– Nie wszystkie – stwierdziła ze smutkiem i spojrzała na mnie swoimi chmurnymi oczami, które tym razem były pełne łez.

Zaryzykowałem i pocałowałem ją. Już od dłuższego czasu pragnąłem to zrobić, ale bałem się, jak na to zareaguje. Zazwyczaj się nad tym nie zastanawiałem. Ona była jednak inna od kobiet, z którymi dotychczas się spotykałem. Poczułem więc ulgę, gdy odwzajemniła mój pocałunek. W tym momencie dotarło do mnie, że pomimo obaw chcę zaryzykować i spędzić z nią resztę mojego życia. Nie wiem jak, ale otworzyła mój sarkofag i przekonała mnie, abym go opuścił. Byłem przekonany, że ona czuje to samo, jednak gdy ponownie się do niej zbliżyłem, stwierdziła, że robi się późno i powinniśmy już wracać. Przez całą drogę powrotną rozmyślałem o tym, co się stało, i nawet nie wiem kiedy znaleźliśmy się z powrotem w centrum miasta. Gdy Maria zsiadła z roweru, podszedłem do niej i chciałem ją błagać o wybaczenie, ale ona mnie uprzedziła.

– Nic z tego nie będzie – stwierdziła. – I to nie twoja wina, tylko wyłącznie moja, a raczej tego zarówno pięknego, co okrutnego świata. Dlatego nie wracajmy już do tego więcej.

Zanim zniknęła, pocałowała mnie jeszcze w policzek na pożegnanie i przypomniała, że widzimy się następnego dnia. Byłem zdruzgotany. Właśnie spełnił się mój największy koszmar. Kolejny raz zostałem porzucony przez kobietę, którą kochałem.

Czwartego dnia czekałem na nią przy kolumnie Matki Boskiej ponad dwie godziny, ale się nie zjawiła. Zaniepokojony postanowiłem jej poszukać. W pierwszej kolejności udałem się do Punktu Informacji Turystycznej, gdzie podobno pracowała. Okazało się jednak, że nikt nie słyszał tam o przewodnicze o imieniu Maria. A więc jednak mnie okłamała, ale w jakim celu. Na pewno nie dla pieniędzy, bo przecież zniknęła zanim zdążyłem jej zapłacić. Sam już nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć. Cały dzień włóczyłem się po mieście w nadziei, że może przypadkiem ją spotkam, ale nic takiego się jednak nie stało.

Urlop dobiegł końca. Byłem szczęśliwy, że wracam do pracy, jedynej stałej opoki w moim życiu. Chciałem z powrotem zamknąć się w moim sarkofagu, ale nie potrafiłem. Przez otwartą pokrywę wciąż bowiem docierały do mnie myśli o Marii. Na korytarzu szpitala kolega z pracy wręczył mi wyniki badań nowej pacjentki, którą przywieziono poprzedniego dnia. Nareszcie mogłem się skupić na czymś innym. Przejrzałem je wstępnie. Już na pierwszy rzut oka przypadek był beznadziejny. Nieoperacyjny guz mózgu, który powiększał się bardzo szybko. Wszedłem do pokoju pacjentki wciąż zapatrzony w dokumentację.

– Dzień dobry, jestem dr Aleksander Starski, będę Pani… – urwałem wypowiedź, gdy podniosłem głowę znad kartek papieru.

Nie wierzyłem własnym oczom. To była Maria. Ucieszyłem się na jej widok, zupełnie zapominając o diagnozie, którą miałem jej zakomunikować. Dziewczyna, równie zaskoczona, zaczęła się tłumaczyć, że nie przyszła poprzedniego dnia, bo rano zasłabła i przywieziono ją tutaj do szpitala. Nie miała mnie zaś jak zawiadomić, ponieważ nie wymieniliśmy się numerami telefonów. A więc jednak chciała się ze mną spotkać – odetchnąłem z ulgą. Nie trwała ona jednak długo, gdyż przypomniałem sobie o wynikach jej badań, które trzymałem w dłoni. Nie wiedziałem, jak mam jej to powiedzieć. Widząc jak się z tym męczę, oświadczyła, że przedtem była już u kilku specjalistów i wie, że umiera.

– Ale dlaczego nie chciałaś się leczyć?

– Pamiętasz wieżę więzienną, w której byliśmy. Nie chciałam czekać na śmierć w szpitalu, tak jak przetrzymywani w wieży ludzie czekali na wykonanie wyroku. Oni nie mieli wyboru, ale ja tak. Uświadomiłam sobie, że to właśnie Racibórz jest dla mnie najważniejszym miejscem na ziemi i to tutaj chcę spędzić ostatnie dni. To miasto jest dla mnie jak stary dobry znajomy,

pełne dobrych wspomnień, które ożywają ponownie, gdy przechadzam się jego ulicami, i sprawiają, że życie ma sens. Tu jest mój mały intymny świat.

– Naprawdę bardzo cię przepraszam, że cię okłamałam – dodała po chwili. – Tam wtedy na Rynku, gdy się poznaliśmy, zrobiłam wykład dzieciom, ponieważ rzucały w kolumnę Matki Boskiej kamieniami. Chciałam je trochę nastraszyć. A potem zjawiłeś się ty i sam wziąłeś mnie za przewodniczkę. Pomyślałam, co mi szkodzi. To miało być tylko niewinne zwiedzanie miasta i okolic. Nie przypuszczałam, że się we mnie zakochasz…

Nie wiedziałem, czy mam się cieszyć, czy płakać. Z jednej strony nie zostawiła mnie, chciała ze mną być, ale z drugiej – była nieuleczalnie chora. W sumie wychodziło więc na to samo, i tak mnie opuści, tyle że nie z własnej woli. To nie może się tak skończyć – pomyślałem. – Znajdę sposób, aby jej pomóc.

Nie znalazłem. Pomimo moich usilnych starań, odeszła na zawsze trzy tygodnie później. Byłem zrozpaczony i wściekły na cały świat. Nie byłem w stanie pracować i chyba po raz pierwszy w życiu sam poprosiłem o urlop. Włóczyłem się bez celu po mieście i ku własnemu zaskoczeniu odkryłem, że tak naprawdę Maria nigdy mnie nie opuściła. Tak jak kiedyś ona widziała postaci z zamierzchłych lat, tak teraz ja wszędzie ją widzę i słyszę jej śmiech. Gdziekolwiek bym nie poszedł ona kroczy zawsze obok mnie. Tak samo jak mozaika, o której mi opowiadała, zniknęła za ścianą czasu, ale nadal tutaj jest, widoczna tylko dla pamiętających ją osób. Jeszcze niedawno to miasto było dla mnie jednym z wielu. A teraz, dzięki Marii, i dla mnie stało się jak stary znajomy. Na zawsze została w nim zatopiona niczym owad w bursztynie, czyniąc je niezwykłym. To właśnie bowiem ludzie i związane z nimi wspomnienia sprawiają, że dane miejsca stają się dla nas wyjątkowe. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek pokocham kogoś tak jak Marię. Obawiam się, że nie ma drugiej takiej dziewczyny, tak jak nie ma drugiego takiego miasta jak Racibórz. Ale kto wie, życie jest pełne niespodzianek. Być może kiedyś to ja oprowadzę jakąś osobę po tym mieście i dla niej też stanie się ono najważniejsze na świecie.

włóczykij